

FOR MEMBERS ONLY

# NARZĘDZIE

# ŻYCIE

DWUTYGODNIK

Rok IV.

Maczków, 3. stycznia 1948 r.

Nr 1 (84)



archiwum  
harcerskie.pl



KORNEL MAKUSZYŃSKI

## Piosenka o Dzieciątku

Grajcie skrzyпки lipowe,  
-piewajcie słodkimi głosami,  
A Ty się, Dzieciątko nowe,  
Zmiluj, ach zmiluj nad nami!  
O, Dzieciątko narodzone,  
Wielkąsmy przyszli gromada,  
I serca ludzkie się kładą,  
Nędzą pobite,  
Zmęczone,  
I cichym głosem płaczące,  
Pod Twoje nogi...  
A długie sznury, z łań wite,  
Cichutkim jękiem dzwoniące:  
O, weź je, Jezusie drogi.  
Te wszystkie nasze bogactwa,  
Płon cały przez ziemię nam dany,  
Troska uczyła nas tkactwa,  
Ze zgryzot przędząc lachmany.  
Dawnych nas wspomnień nauca,  
Ból, nauczyciel nasz siwy,  
Gdy sercem oraliśmy niwy,  
A zboże wybiła nam tuca.  
O słodka jedyna Dziecino,  
Jezusie wśród nędzy poczęty:  
Czy z oczu niebieskich Twych płyną,  
Co krzepną na siwym mrozie  
Ciepłe i jasne diamenty?  
Czy w czarnej północnej grozie,  
Słowik czarodziejską sprawą,  
Piosenką śpiewa cichutkie,  
Czy to Twe serce malutkie,  
Tą się rozżaliło mową,  
Jako słowik w noc majową?  
A Twe leżki brylantowe,  
Tak na polską płyną głowę,

Jako rosa,  
Gdy niebiosą  
Nad śmiertelną płaczą dolą?  
O, Dziecino biedziutka z opłatka!  
Jasniej czyni się na świecie,  
Gdzie ludzie plakali smutnie;  
Uśmiecha się Twoja matka.  
Aniołowie stroją lutnie,  
A śnieg diamentami miecie,  
Przeto wyciągnij rączeta,  
Serca z nas wyjmij strwożone,  
Z łęku zbladłe jak opłatki,  
Jako zgłodniałe ptaszęta,  
Weź je, jak gołębie z klatki,  
I przez rączyn Swych dotknijcie,  
Śmiechu jasnego słodyczą,  
Pieśnią je napój słowiczą;  
Przez słoneczne wniebowzięcie,  
Wielkiej je naucz miłości.  
Słodką napelnij nadzieją,  
By nie padały w żalosci.  
Lecz, by tak się w głos rozśmiały,  
Jak się aniołowie śmieją;  
By jako ptakowie leśni  
Takie zawiodły chorały,  
I takie zawiodły pieśni,  
Głośne, szumiące, radosne,  
Jak ziemia, gdy śpiewa na wiosnę,  
Jak wiatr, gdy całuje drzewa,  
I jak morze, gdy ziemi śpiewał  
O, wydadź, wydadź orędzie,  
Żeby już kwiaty wyrosły  
Na spekaniej polskiej grzędzie,  
I anielskie wyżłij posły.  
Do zbiedzonych dusz by wstały,

I by pługiem polskie niwy,  
A świat sercem przeorały.  
O, Dziecino, najśłodsza Dziecino,  
Gwiazdki klękają przed Tobą,  
Wszystkie Ci kłonią się światy,  
Wszystkie słońca i księżycy  
W Twoje słodkie patrzą lice.  
A my z błagalnym wołaniem,  
Pełni nieszczęścia i grzechu,  
Twoje prosimy uśmiechu,  
Gdy się uśmiechniesz, jak z wiosną  
Róże na śniegu wyrosną,  
Zboże wybuja z tęsknoty,  
Gdzie uśmiech padnie Twój złoty.  
Za to, w najtkliwszej podzięce,  
Polscy przyjdą rybałtowie,  
W lichej przystaną stajence,  
Bajkę Ci każdy opowie.  
Albo przybieży po szkole,  
Najdroższe Ci pewnie na świecie,  
Skrwawione lwowskie pachole,  
Z ciężkim tornistrem na grzbiecie,  
I takie Ci cudy opowie,  
I takie niezmiernie dziwy,

Że się uśmiechniesz szczęśliwy,  
I pogładzisz je po głowie,  
Aniołom każesz pieść wieńce,  
A Swej najdroższej matceńce  
Łza jasna na rzęsach zawisnie,  
Więc ono pachole ze Lwowa,  
Do Swego serca przycisnie,  
Aż zadrzy głowina płowa.  
A ja ode wszystkich lichszy,  
Biedaczyna mizerota  
Od pasterzów biednych, cichszy,  
Nie przyniosę Tobie złota.  
Lecz Ci oddam po pastercie,  
Kwiat wzięty moje serce  
I książeczkę z obrazkami.  
Co tak głośno się uśmiecha,  
Ze się betlejemską strzechą  
Aż zaroi aniołami.  
I tak się będziecie śmieli;  
Ty, Mateczka i Anieli,  
Słuchający dookoła,  
Ze aż serce me prostacze,  
I książeczka choć wesola,  
Ze -szczęścia — głośno się rozpacze.

## Czego żąda od nas Ojczyzna?

Katakлизм drugiej wojny światowej zabrał z szeregow Narodu Polskiego najlepszych jego synów. Również i Harcerstwo dotknięte zostało dużymi stratami.

Nasuwa się refleksja. Tyle lat nieugiętej, bohaterskiej walki, tyle krwi przelanej za „naszą wolność i waszą”. Tyle ofiar w obozach koncentracyjnych, jakby się wszystko na nas sprzyściło. Polska znalazła się w najgorszym położeniu po wojnie. I znów padają pytania: „Dlaczego tak się stało”.

czyż nie zasłużyliśmy na szczęśliwszy los? Gdzie leży wina?

Musimy sobie szczerze powiedzieć, że częściowo wina leży po naszej stronie.

Rok 1945 nie dał Polsce upragnionej wolności. Owszem, niesie on systematyczne wyniszczenie tego, co jest polskie narodowe.

I znów po krótkim okresie niepodległości stanęliśmy w pozycji wyjściowej, co więcej, w obliczu grożącej Narodowi zagłady.





o zatwierdzenie tej granicy przez konferencję pokojową. Niejasnym jest jedynie stanowisko Waszyngtonu... Chcieliby wykorzystać tę sprawę jako atut do przetargów z Rosją. Trochę dziwna tendencja, gdy się zważy, że Odra i Nissa nie jest w sferze interesów amerykańskich. Kto inny ma ten atut w rękę...

Trudno takim atutem oddziaływać i na Niemców. Zdają sobie bowiem doskonale sprawę z niemożności zmienienia tej granicy przez Anglosasów.

Oceńmy jednak zaprojektowaną granicę w szczegółach. Zaczniemy od północy...

Otóż nie możemy uznać wytyczonej granicy za właściwą z chwilą, gdy nie daje nam całej Zatoki Szczecińskiej. Dlatego też dążeniem naszym musi być uzyskanie całego wybrzeża Zatoki Szczecińskiej wraz z wyspą Rugia. Stanowi ona bowiem naturalne zabezpieczenie szczecińskiego portu na Bałtyku. We wrogich natomiast rękach — wyraźnym jego zagrożeniem.

Obok tego musimy wysunąć i dalsze żądania. Przede wszystkim lewego brzegu Odry.

Postulat ten jest aż nadto oczywistym dla polityka trzeźwo myślącego. Nie może być bowiem Odra, będąca główną arterią gospodarczą nie tylko dla Ziemi Odzyskanych lecz i dla starych ziem zachodnich Wielkopolski i zachodniej Kongresówki, granicą między państwami. Musi stać się wyłączną polską po obu stronach.

Wystarczy złośliwość sąsiada (zresztą zawsze skorego do złośliwości, o ile chodzi o nas...), by ruch na Odrze został sparaliżowany. I dlatego też odsunięcie od Odry o kilkanaście kilometrów na zachód jest wprost konieczne!

Jeśli chodzi o stronę dynamiczną, wynikającą z bezpośredniego sąsiedztwa dwóch narodów, to po naszej stronie na odcinku nadodrzańskim będzie element bardziej pionierski, aniżeli po stronie przeciwnej w kierunku słowiańskiej zresztą z pochodzenia Meklemburgii. Wysoce dynamiczny, bogactwo się po prostu z każdym rokiem z racji coraz silniejszego powiązania Śląska z Bałtykiem.

Trudno nie podkreślić decydującej w tym wypadku roli polskiego Szczecina.

Ucieczka ze wsi do miast wyjałowiała cały teren na zachód od dolnej Odry. Jednostki bardziej aktywne spłynęły do Berlina, względnie Rozтока. Niemalże ich spłynęło przed ostatnią wojną i do Szczecina. Pozostały jedynie elementy, nie wykazujące silniejszego temperamentu, nie zdolne uprzemysłowić wsi. Wątpliwe, by proces ten zatrzymał się w Niemczech. Toteż w tych warunkach, po wyniszczeniu „junkrow” brandenbursko-pruskich przez rewolucyjną reformę rolną z 1945 r., tak naprawdę jedynych ośrodków energii narodowej na wsi, sąsiedztwo na zachód od dolnej Odry może się okazać zupełnie bezpieczne. Co prawda należy się liczyć z elementem napływowym, usuniętym z Polski w dorzecze Łaby, rozmieszczonym po wsiach i miasteczkach. Trudno jednak przypuścić by element ten, zjeżdżający nienawistnie do nas, okazał się bardziej aktywnym, więcej dynamicznym od naszych osiedleńców na Pomorzu Szczecińskim.

Inaczej natomiast przedstawia się nasza granica na łubuskim odcinku Odry między Kistrzyniem a Słubicami. Prawie bezpośrednim tutaj sąsia-

dem jest cztero-milionowy Berlin... Nie łatwo nam będzie zrównoważyć dynamikę tak wielkiego miasta ekonomiczną przężnością Ziemi Łubuskiej, silnie zniszczonej przez zaciekłe walki z Niemcami o każdą pięćdziesiątą. Wielkopolskie zaplecze niewiele tutaj pomoże, tym więcej, że reszta Frankfurta nad Odrą (z lewej strony Odry) jest jakby wysuniętym ramieniem Berlina, szybko odbudowanym. Najgroźniejszy to odcinek Odry.

Dlatego też musimy się starać o odzyskanie reszty Frankfurta an der Oder (właściwych Słubic), jak i dążyć do umniejszenia znaczenia Berlina jako stolicy Rzeszy. Tendencje przesunięcia punktu ciężkości Niemiec bardziej ku południowi, ku Monachium, względnie Frankfurtowi nad Menem są i w naszym interesie. Narazie musimy umocnić łubuski odcinek Odry przężną ludnością i strategicznie... Stać się mocno czujni na tym obszarze! Tędy prowadził bowiem droga do serca Polski! Nie możemy być zaskoczeni.

Dla zwalczania znaczenia Berlina winniśmy użyć idei antypruskiej o wiele silniejszej od idei antyniemieckiej, która niezaślugo zaczęła i słabnąć wśród narodów świata. Zaczynamy być tego świadkami już dziś...

Odmienne znowu przedstawia się nasza granica na Nisissie Łużyckiej.

Mala spławność Nissy przy o wiele mniejszym jej znaczeniu gospodarczym w porównaniu z Odrą, nie dają nam argumentów dla uzasadnienia lewostronnej granicy. Jeszcze gorzej przedstawia się ocena dynamiczna.

Serbo-Łużyce są bowiem mocno zaludnione (110 osób na km<sup>2</sup> w okręgu Zgorzełka, Białej Wody, Rezi), a nawet przeludnione (190 osób na km<sup>2</sup> w rejonie Budziszyna, Kamienia, Lubienia). Już przed wojną miały większe zalud-

nienie na km<sup>2</sup> od Dolnego Śląska: między Nissą Łużycką a Nissą Kładzką nie było więcej od 60—80 osób na km<sup>2</sup>. Jasne, że teraz, po usunięciu Niemców ze Śląska i nieuzupełnieniu skolonizowaniu terenów odzyskanych, dysproporcja jest jeszcze większa niż przedtem. Toteż łatwo jest wywierać nacisk na obszar słabiej zaludniony, mogący pomieścić o wiele więcej ludności.

Dlatego też i niemieckie hasła rewizjonistyczne, lansowane w świecie, uderzają nie tyle w granicę dolnej Odry, lecz raczej w granicę Nissy Łużyckiej, poza którą od zachodu jest nadmiar ludności. Widoczny też jest i większy szowinizm wśród Niemców w Łużycach, jak i w Górnej Saksonii, nie mówiąc o Berlinie. Konieczne jest zatem znalezienie sposobu ubezpieczenia naszej granicy z Serbo-Łużycami. Pomocnym w tym względzie może być dla nas separatyzm serbo-łużycki, dążący do niepodległości Serbo-Łużyc. W interesie własnym musielibyśmy go stworzyć, gdyby go nawet nie było. Tak postąpiła Francja w stosunku do Nadrenii, wyworzyła separatyzm nadreński, rozsadzając Rzeszę od środka.

Stąd też i polityka Bolesława I Chrobrego nie była polityką politycznym. Gęsto zaludnione Łużyce nie mogły być w rękach niemieckich. Przedpole słabo zaludnione Śląska musiało być wyrwane z rąk najezdźców.

Odzyskanie starej granicy narzuciło nam te same konsekwencje, co i Chrobremu.

Serbo-Łużyce muszą być wywołone z jarzma niemieckiego.

Łużycanie czekają...

Czekają z niecierpliwością, obudzone nadzieje mają tym razem realną podstawę, w namacalnej bliskości Polski, wolnej od mniejszości niemieckiej

(dokończenie na str. 20.)





Ale tym razem zagłada nie tylko grozi Polsce, ale całemu światu cywilizowanemu.

Wrogiem nieugiętym chrześcijaństwa, kultury zachodniej, wszelkiej sprawiedliwości jest Azjata, który nie przebieżając do ośrodkach, konsekwentnie dąży do zniszczenia wszystkiego, co mu stoi na przeszkodzie. Celem jego jest nie wyzwolenie ludów, jak obłudnie wypisał na swych sztandarach, ale dążyć do zatracenia człowieczeństwa, do zrównania człowieka ze zwierzęciem.

Do walki staje cały świat. I znowu Polsce, nie tylko ze względów geograficznych, ale tradycyjnych, by tak zawsze broniła Europę przed zalewem barbarzyńskiego wschodu, przypada w udziale przyjąć pierwsze uderzenie. Walka czeka nas niubłagana, zresztą już się zaczęła, walka na śmierć i życie.

Wróg uderzył w najczulszą stronę Narodu — w młodzież polską, a szczególnie w zorganizowaną w szeregach harcerek.

Wykreśla się Boga z przyrzeczenia harcerek. Harcerzowi nie wolno służyć Bogu, nie wolno Go kochać. Owszem, Bóg jest tylko potrzebny, aby pomógł harcerzowi służyć swołście pojętej, demokratycznej Polsce.

Prawo harcerekie o posłuszeństwie w stosunku do rodziców nic nie wspomina. Matka jest niepotrzebna. Wychowanie matki zastąpi państwo przez swe instytucje. Znane jest powszechnie dążenie do rozbitcia rodziny. Wróg wie, że rodzina jest komórką Narodu i jaka jest rodzina, taki jest Naród. A więc wbić klin między dziecko a rodziców, rozbić rodzinę, to połowa zwycięstwa.

A przez zszepczenie w młode pokolenie jadu zepsucia, zgnilizny moralnej, fałszywych hasel i oderwanie go od trzonu Narodu — to całe zwycięstwo.

Myli się jednak zaślepiiony wytkniętym celem wróg. Nie wie, że dziecko polskie miłość Boga i Polski wyssało z piersi swej matki i aby zabić w nim miłość do Boga, Polski i matki, to musiałby mu wyrwać serce z piersi.

Systematyczna jednak i konsekwentna akcja może uczynić wyrwym w szeregach młodzieży, która się sama wyeliminowała przez chęć służenia idei — w szeregach Harcerstwa. Toteż my tu na obczyźnie, gdzie cieszymy się wolnością, gdzie wróg nie czyha nad nami, w rozumieniu ciężkiej walki, jaką Harcerstwo stacza w Kraju, nie możemy ani chwili zmarnować w pracy nad sobą i innymi.

Ciężko grzeszylibyśmy wobec Narodu, gdybyśmy czas na emigracji zmarnowali. Dziś więcej niż kiedykolwiek potrzeba rozumu, nieugiętej woli i wielkiej siły duchowej.

Zadanie jest wielkie. Okres wojenny, jak i powojenny, spowodował powszechny upadek moralności. Na młode pokolenie spada obowiązek odrodzenia moralnego Narodu. Postępowaniem swym, pracą, musimy porwać wszystkich tych, którzy zubożyli na sprawy narodowe, co więcej, którzy w nieświadomości swej nie tylko Polsce nie służą, ale ją gubią. Wreszcie tych, którzy zapomnieli o Bogu. Wówczas spełnimy swój obowiązek w stosunku do Ojczyzny.

Polska czeka na dobrych synów-rycerzy, synów rozumnych, świadomych swych celów i obowiązków. A droga do Niepodległej Polski prowadzi przez służbę Bogu, przez stosowanie zasad etyki Chrystusa w życiu prywatnym, społecznym i publicznym, przez walczenie z Katołicyzm, który jedynie może stać się czola, niosącemu zagładę ludzkości — komunizmowi.

S. Hyżewicz.

## Powrót nasz nad dolną Odrę i Niszę Łużycką

Wiele dziś szumu wokół nowej granicy nad dolną Odrą i Niszą Łużycką. Jedni ją uznają, drudzy kwestionują, inni nie wierzą własnym oczom, choć z każdym dniem granica ta staje się coraz bardziej faktem.

Tymczasem cóż to za granica?

Otóż na granicy tej do 1181 r. łamała się przemoc niemiecka po opanowaniu Łaby, tamującej Niemcom dostęp do Bałtyku.

Skończył się w ten sposób pierwszy etap niemieckiego „Drang nach Osten”, wszczęty jeszcze w końcu IX wieku po przewrocie Piastowskim z 861 r. w kraju Polan. Rozpoczął się drugi z kolei etap, prawie nazajutrz po 1157 r. pokonaniu Słowian Zachodnich w dorzeczu Łaby... Niemiecki „Drang nach Osten” począł się kierować ku Wiśle poprzez Ziemię Lubuską, ujście Warty i Noteci do Odry, jak i Niszę Łużycką, chroniącą Śląsk. Chciano etap ten zakończyć w ostatniej wojnie polsko-niemieckiej z 1939 r. Wymazać nie tylko imię Polski na mapie, lecz i Naród Polski spośród żyjących narodów świata. Likwidowano nas w najrozmaitszy sposób. Chwilami zdawało się, iż tylko ślad pozostanie po nas w ksiągkach, jak po Zachodniej Słowiańszczyźnie. Perfidia bestialstwa doszła do szczytu!

Nie udało się.

I dopiero, gdy w ten sposób podjędzieny do prowizorycznie ustalonej granicy naszej na Zachodzie wzdłuż dolnej Odry i Nissy Łużyckiej, rozumiemy o wiele lepiej historyczną wprost chwilę naszego powrotu nad Odrę i Niszę.

Rozumiejmy wagę dzisiejszych roz-

strzygnięć Niemcy i stąd ten wrzask bez względu na partie społeczno-polityczne. Zrozumiejmy i my! A wtedy ostateczne ustalenie zachodniej granicy zjednoczy cały nasz Naród tak w Kraju, jak i za granicą, wokół dolnej Odry i Nissy Łużyckiej.

Zdajemy sobie bowiem chyba sprawę, iż nie możemy raz na zawsze wykreślić niebezpieczeństwa niemieckiego, grożącego nam stale zagładą, będącego niemal o krok od zwycięstwa w ostatniej Wielkiej Wojnie z 1939/45 r. Zresztą i czas po temu jest dziś wyjątkowo dla nas korzystny...

Prasa anglosaska, nie tylko brytyjska, lecz i amerykańska, coraz częściej zaczyna podkreślać niemocność cofnięcia prowizorycznej decyzji poczdamskiej z dnia 2.VIII.45 r. powziętej przez „Wielką Trójkę” w Poczdamie (dawnym słowiańskim, lutyckim Postupinie). Trzeba by było użyć siły...

Typowym głosem nurtujących nastrojów jest głos „New York Herald Tribune” z listopada 1947 r. Stwierdza najwyraźniej: „każdy miesiąc, który upłynął od zakończenia wojny, mocniej zainstalował Polaków na ich obecnym terytorium i uczynił jakąkolwiek zmianę w schodniej granicy Niemiec mniej wykonalną...”

„Zdawano sobie zatem sprawę z niemożności odwrócenia faktu! Zrozumiano, iż wszelka akcja przeciwko nowej granicy staje się tylko wodą na młyn przeciwników Anglosaw.”

Jeśli chodzi o W. Brytanię, to raczej popiera nową granicę na zachodzie tak, że brak jest wyraźnych akcentów rewizjonistycznych. Chodzi jej tylko



# PENICYLINA

(Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone)

Wyobraźmy sobie bowiem człowieka, nieuleczalnie chorego, lub walczącego ze śmiercią. Wzujemy się choć trochę w jego rozpaczliwą świadomość, że oto mu nic nie może pomóc, że za godzinę, dwie, lub więcej, będzie musiał umrzeć. Wyobraźmy sobie: temu zrozpaczone-mu biedakowi daje się napój lub zastrzyk, który ma go uratować od śmierci i przywrócić stracone zdrowie. Nie będziemy się wtedy dziwić, że doświadczenia z penicyliną obfitowały w wysoce dramatyczne momenty, jak to się wyraził.

Prof. Fleming wybrał pięciu pacjentów, których ówczesna medycyna nie umiała uzdrowić żadnym ze znanych środków. Trzech z nich chorowało na przewlekłe, ogólne zatrucie krwi, czwarty na ciężkie zapalenie opon mózgowych, piątym zaś było dwumiesięczne dziecko, chore na ogólne zapalenie szpiku kostnego i rozmiękanie kości, a więc w najlepszym razie skazane na dożywotnie kalectwo! Wszyscy ci pacjenci z radością pozwolili sobie zaaplikować penicylinę, choć im zwrócono uwagę na możliwość zaistnienia przykrych niespodzianek.

Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania! Wszyscy pacjenci wyzdrowieli!! Rzecz ta działa się w r. 1941, a więc w początkach ciężkiego pojedynku między aliantami a Niemcami. Prasa amerykańska i angielska umieściła jedynie małe, nic nie znaczące wzmianki, z powodów natury wojskowej.

Wnioski naukowe tego dramatycznego eksperymentu były następujące: 1) penicylina działa zabójczo na pewien rodzaj zarazków, specjalnie zaś na tak

zwane coccus (gronowce), powodujące złośliwe flegmienię ran, zapalenia opon mózgowych, gorączkę połogową, rzeżączkę itp. 2) bardzo duże ilości penicyliny nie powodują normalnie żadnych chorobowych następstw dla organizmu ludzkiego. 3) Penicylina nie jest lekarstwem cudownym, leczącym wszystkie choroby, jak wykazały, niestety, doświadczenia i obserwacje ówczesne, do dzisiejszego dnia kontynuowane.

Wróćmy do prof. Florey'a... Znajdziemy go w bardzo przykłej sytuacji: chudziło o rozwiązanie niesłychanie trudnych produkcyjnych zagadnień. Udało mu się wprawdzie zdopingować znane nam już pleśniowce do kilkanaście razy silniejszej produkcji wydzielin, aniżeli za czasów Fleminga, ale tym samym wyczerpały się wszelkie możliwości osiągnięcia penicyliny drogą niechemiczną. Ilość ta starczyła zaledwie dla kilku chorych w czasie, kiedy na pomoc czekały miliony chorych żołnierzy! Z jednego cm<sup>3</sup> grzybka penicilium notatum otrzymano tylko 2 jednostki wydzielin — czyli penicyliny.

Do wyleczenia zaś jakiegokolwiek choroby trzeba było najmniej 100.000 O.U. (O.U. — Oxford Unit, czyli jednostka oxfordzka; tak nazwano najmniejszą ilość penicyliny, powodującą już zmiany chemiczne). Zdarzało się, niestety, że w trakcie leczenia wyczerpywał się zapas penicyliny, a podleczone i pelen nadziej pacjenci umierał, zanim zdola-no wyprodukować nowe kwantum. Florey prowadził doświadczenia w swej ojczyźnie — Anglii. Anglia, nastawiona na produkcję wojenną, niszczo

wówczas regularnie przez niemieckie bombardowania z powietrza, nie mogła Florey'owi pomóc. Zwrócił się on przeto do USA z prośbą o pomoc, którą też otrzymał.

W olbrzymich laboratoriach Peoria (Illinois) Florey zaczął nareszcie doświadczenia na wielką skalę. Stawiano mu do dyspozycji wszystkie możliwe środki. Po tysiącach najrozmaitszych prób stwierdzono, że pod wpływem pewnego płynu, otrzymywanego przy produkcji mączki, grzybek penicilium notatum oddaje tysiąckroć więcej wydzielin. Fakt ten miał olbrzymie znaczenie dla podjęcia masowej produkcji penicyliny. Produkcją tą zajęła się jako pierwsza znana amerykańska firma Merck & Co.

Rozpatrując historię penicyliny, nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć, że jest ona ściśle związana z okresem najcięższych zmagani wojennych. Tysiące, ale to tysiące bezradnie lub ciężko rannych żołnierzy, czekało na

Zastanówmy się teraz nad tym, w jaki sposób penicylina działa.

Dotychczasowe obserwacje uczą nas, że powoduje ona przede wszystkim zahamowanie rozmnażania się bakterii (które rozmnażają się przez podział komórek). Jak wiemy, życia można pozbawić albo przez mechaniczne oddziaływanie, albo przez stworzenie warunków, wśród których dalsze życie czy też rozwój organizmu nie jest możliwy. Tym ostatnim środkiem posługuje się właśnie penicylina. Blokując przeciwnika przez niszczenie wszelkich życiodajnych elementów stwarza warunki, w których zarazki nie są zdolne do rozmnażania się, a nie mogą się więc rozmnażać — umierają. Zabójcza

lekarstwo, o którym opowiadano cuda. Ameryka nie żałowała ani pieniędzy, ani wysiłków, aby Florey'owi i jego współpracownikom pomagać z największym natężeniem sił do tego wielkopomnego zwycięstwa nad bakteriami, większego ponad wszystkie zwycięstwa oręża. Według niemieckich statystyk szpitalnych, na stu umierających żołnierzy (rannych) — 65% traciło życie wskutek ropnego zapalenia obrzusznej (peritonitis), i tzw. zatrucia krwi (sepsis), a więc z powodu zbrodniczej działalności tych zarazków, które przede wszystkim ginęły pod wpływem penicyliny. Zrozumiemy więc łatwo zapalczywą pracę prof. Florey'a i jego współpracowników nad osiągnięciem takiej produkcji, która by pozwalała w każdej chwili na nieograniczone ilościowo użycie penicyliny. Jak wiemy, zamiar ten powiódł się w zupełności. Do publicznego użytku penicylina została jednak oddana dopiero w roku 1943.

IV.

działalność penicyliny na chorobotwórcze bakterie jest zależna od ilości wstrzykniętych jednostek. Zachodzi tutaj wprost proporcjonalny stosunek, a więc im więcej zarazków, tym więcej jednostek penicyliny potrzebuje organizm, aby zwalczyć chorobę. Dotychczasowe dowiadzenia uczą, że penicylina niszczy przede wszystkim zarazki rzeżączki, zapalenia opon mózgowych, gorączki połogowej, zgorzell, zapalenia narządów płciowych kobiece, wszelkich procesów ropno-zapalnych, słowem, pewien rodzaj tzw. kokków. Każdy rodzaj tych bakterii jest w rozmaitym stopniu wrażliwy na jej działanie, tzn., że gdy do wyleczenia rzeżączki potrzeba 200.000 O. U., to





dla wyleczenia np. zapalenia obrzusznej konieczne są już 1.000.000 — lub więcej jednostek. Z chwila, gdy koncentracja penicyliny w organizmie jest za słaba, bakterie „przychodzą do siebie”, wyswabdzając się z chwilowego „oszołomienia” i rozmnażając się bez przeszkód dalej. Dlatego też do najważniejszych przykazań lekarza należy troskliwie mikroskopijne badanie w celu stwierdzenia, o jaki typ bakterii chodzi i jaki jest stopień ich wrażliwości na działanie penicyliny. Niestety, penicylina okazała się bezsilna i bezskuteczna przeciw innym, strasznym chorobom, dręczącym ludzkość, jak gruźlica, kila, zapaleniu mięśnia i woreczka sercowego, paraliżowi dziecięcemu, żółtej febrze, reumatyzmowi, rakowi, tyfusowi plamistemu i brzusznemu, cholercie itd.

Wiemy z dotychczasowych badań, że penicylina działa najprawdopodobniej bez udziału organizmu ludzkiego. Tym faktem właśnie da się wytłumaczyć to dramatyczne w swej błyskawiczności działanie penicyliny w wypadkach zupełnego wyczerpania organizmu ludzkiego, jak to widzimy przy długotrwałych zakażeniach, kiedy chory nie posiada nawet tyle sił, aby poruszyć ręką. Tutaj też należy szukać źródła owego nimbu cudowności, który otacza penicylinę. Nie można się temu dziwić. Ktośkolwiek bowiem badając raz widział człowieka, podobnego raczej do uosobienia śmierci przez wyniszczenie chorobą, kto raz widział te gasnące oczy, kto czuł to ulatające już życie i patrzył w przepelnioną rozpaczą twarz chorego, z drugiej zaś strony, kto miał sposobność zauważyć, jak te same oczy natychmiast po zastrzyku penicyliny nabrały blasku, a powracające życie ujawniło się w od tygodni

nieznany uśmiech, temu łatwo zrozumieć otaczający penicylinę nimb cudowności. Cudowności, która polega nie na leczeniu wszystkich chorób, ale na gwałtownym, ba, prawie natychmiastowym ich pokonaniu.

Zrozumiałe zaciekawienie wywołały ostatnie w sędziwym lekarskim badaniu nad skutecznością penicyliny w zastosowaniu do kily. Dało się zauważyć, jakoby penicylina wywierała ujemny wpływ na zarazki kily (spirochoeta) pallida, choć dotychczas nie udało się ani jednego wypadku wyleczyć. Tak w tym, jak i w innych wypadkach, musimy cierpliwie poczekać na ostateczny wynik badań, który przyniesie z sobą przyszłość. Być może, że w chwili gdy artykuł ten zainteresowani czytają, w naukowych laboratoriach zrodził się już inny silniejszy i skuteczniejszy środek na choroby.

Penicylinę produkuje się obecnie w trzech postaciach: 1) w postaci proszku, który zmieszany z wodą podwójnie destylowaną służy do zastrzyków, 2) jako maść i 3) jako proszek pudrowy do zasypywania ran. Amerykanie dostarczają, zjednoczonym strefom amerykańsko-angielskiej około 30 miliardów O.U. miesięcznie. Na terenie Niemiec jedynie farbyki w Erfurcie otrzymały zezwolenie na produkcję penicyliny. Produkcja ta zostaje pod ścisłą kontrolą czynników wojskowych amerykańskich.

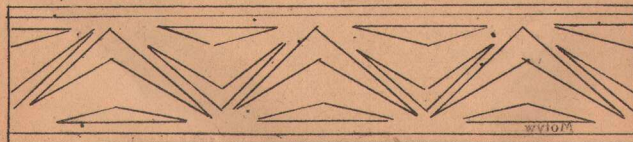
Dr. Władysław Binek, pfm.

TYM WSZYSTKIM, KTÓRZY NADEŚLALI NAM ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE, SERDECZNIE DZIĘKUJEMY.

REDAKCJA.



„Zbójnicki” według Stryjeńskiej.

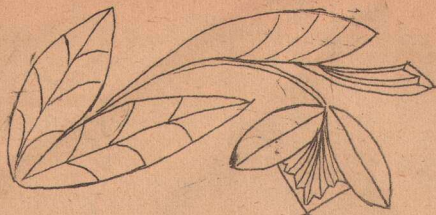


S z l a k.

59132

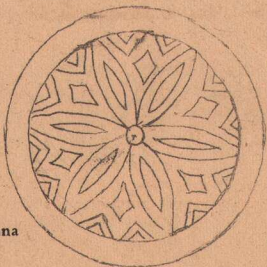


## O Zakopanem, góralach i zakopiańszczyźnie



Motyw roślinny — kwiat stylizowany.

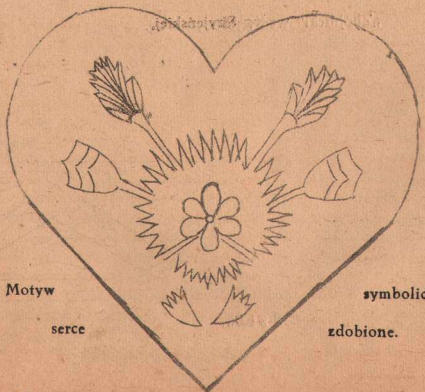
Motyw



geometryczny

sześcioramienna

gwiazda.



Motyw

serce

symboliczny

zdobione.

Kiedy doktor Tytus Chałubiński, radowanin, w ubiegłym wieku „odkrył” Zakopane, odkrył nie tylko miejscowość o nadzwyczajnych właściwościach leczniczych. Odkrył bowiem zarazem wspaniały rezerwat ludzki, wraz z jego przebogata kulturą, sięgającą korzeniami do pradawnych czasów, rezerwat umieszczony w przepięknych ramach tatrzańskiejszej przyrody. Dla człowieka z nizin — dziwny a imponujący to kraj. Wokół góry porośnięte gęstym, pełnym wiatrołomów, a ciemnym przeważnie lasem, karlejącym i rzędnącym ku górze, na większych wysokościach ogołocone, nagie zwałiska kamieni i masywy skał, wierchy i żłeby pokryte nigdy nieopniejącym śniegiem. Liczne jeziora i stawy górskie, liczne, rwące, o zimnej wodzie potoki, tak rwące, że prąd wody porywa ze sobą i toczy z ogromnym hukiem wielkie głazy. Liczne doliny, rozpadliny i wądoły dopełniając barwnego krajobrazu. Słońce doprawdy inaczej tu świeci, załamując się w wodach stawów i potoków, odbijając od nagich ścian skalnych, o-promieniając śnieżne szczyty tak przebarwioną gamą kolorów, tak niespotykana gdzie indziej, że nielada mistrza sztuki malarskiej trzeba, aby dzieło jego mogło być odbiciem tego boskiego dzieła. W lasach przeważnie jodły, buki i świerki, smrekami tutaj zwane. Rzadziej jawory, wiąz, brzostry i jesiony. Trafiają się cisy i limby, zaś tam, gdzie dla drzew już za wysoko, rozpociera się kosodrzewina. Wyżej mchy porastają kamienie, nadając w różnych porach roku zielonkawe, żółte,

rdzawe, sine, szare wreszcie lub lilijowe zabarwienie. Gatunki paproci gdzie indziej niespotykane, krokusy, zlotogłowy, skromne szarotki, pretensjonalne storczyki i wiele innych ziół górskich nadają piętno szczególne. Ze zwierząt: sarny, jelenie, niedźwiedź; w górze krążą majestatycznie gniedzące się na szczytach skalnych orły górskie i sępy skalne, królując nad mnogością pomniejszego ptactwa.

Przybyły po raz pierwszy człowiek z nizin, spojrzawszy na tę dziwną dla niego, niesamowitą krajinę staje zębą rozdziawioną na rozlecie z podziwu i dłuższy czas jej się nadziwić, ani ośwoić się z nią nie może. Raz poznawszy góry i zamieszkujący je lud, tęsknić będzie za nimi i raz wraz je odwiedzać, odświeżać czystym, górskim powietrzem płuca, odświeżać czystą, prostą a szczerą atmosferą tam panującego ducha.

Taką to krajinę zamieszkuje od wiek wieków starodawne, rdzennie polskie plemię, od otaczających je gór góralski mi zwane. Górale są zrosnięci z otaczającą ich naturą i z niej wyrosli. Zwinni i wygimnastykowani przez odwieczne stąpanie po nierównościach gruntu i niebezpiecznych ścieżkach, jak górskie kozłce, smukli, jak w zwartym lesie rosnące smrek, pnące się ku słońcu, groźni, jak halny wiatr lub lawina — gdy trzeba. Górale rozumieją piękno przyrody, są z nią organicznie związani, są jej częścią, z niej wyrosnięci, na niej wychowani, odczuwają się wzajemnie. Nic więc dziwnego, że potrafili stworzyć swoistą, odrębną kulturę o nie byle jakiej skali i natę-



zeniu. Dopomogli do tego dwa czynniki: geograficzny i gospodarczy. Podhale i góry leżące na samym południu Polski, ze względu na swoją rzeźbę terenu, wielki koszt budowania dróg, trudny zatem dostęp, rzadko było odwiedzane przez mieszkańców innych części Polski; górale sami, niejako zamknięci górami, przywarci do nich, żyli, źle się poza nimi czujący, niechętnie wyprawiali się w dalsze podróże. Uboga, kamienista gleba, na której ze zbóż właściwie udawały się tylko owoce i marnawe żyto\*), wszystko to zmuszało górali do zajęcia się obok hodowli owiec rękodzielnictwem o charakterze wytwórczości domowej, uprawianej głównie w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich, szczególnie w zimie. Różnorodność tej wytwórczości jest olbrzymia. Górale wytwarzają przedmioty użytkowe, z których większość jest ozdabiana, i czysto zdobnicze. Wytwarzają z drzewa, metalu, skóry, wełny, tkanin, gliny i kamienia. Zręczność ich i wprawa w tej wytwórczości są zdumiewające, najwykolejszym kozikiem, bez skomplikowanego asortymentu dut potrafi góral wyrzeźbić w drzewie najbardziej wyszukane wzory. Przy pomocy koła garncarskiego, takiego samego, jakiego używali garncarze kilka tysięcy lat temu i palców wytacza góral najbardziej czarodziejskie kształty naczyń glinianych.

\*) Na krótko dopiero przed drugą wojną światową dzięki intensywnym dowsiadaniom polskich instytutów rolniczych — zastosowaniu odpowiednich mieszanek nawozów sztucznych i wyhodowaniu specjalnej odmiany pszenicy, dano się zaważyć gdzieś niedaleko od Podhala niewielkie poletka pszenicy, zrzeszą nie mogącej się równać z naszą sandomierską, lubelską czy kujawską.

Kierpcie skórzane i uprzęż rzemieńską robi góral sam ze skóry przetworzonej wygarbowanej w korze świerkowej, uzyskując produkt znacznie lepszy i piękniejszy od fabrycznego. Swoje portki góralskie, kilimy i hafty wytwarza z wełny wyhodowanych przez siebie owiec. Wszystko to góral umie niemal od kołyski, nikt go tego właściwie nie uczy, widzi tylko, jak robi ojciec i matka i już umie, ma to we krwi, czerpie z doświadczenia wieków. I taka to jest różnica jak między chłopskim wozem a furgonem żelaznym, skonstruowanym przez inżyniera, który nigdy wozu chłopskiego nie widział i go nie zrozumiał. Poskręcał swój furgon żelaznymi śrubami i murtrami, umocnił nitami, aby wszystko siętrzymało, resory, a jakże, musiał także dać. A jak kto na ten furgon usiadł, to po krótkim czasie nie wie, co ze sobą zrobić, aby się od okrutnego trzęsienia uchronić, z klekotu nie ogłuchnąć, a zębów nie powybijać. Nieuczony chłop mało co żelaza do wozu używa, części wozu ze sobą tak silnie nie spaja, paważ i boczne deski luźno kładzie, kloncice i dyszel tylko zatyka, wsiada na wóz, śmieje się i jedzie, a jedzie po wszystkich drogach, polach i bezdrożach, i po równym, i po pagórkach. Sam nie wie, że w tej swojej prostej chłopskiej konstrukcji zaprzągl do swojego użytku i siłę tarcia i siłę ciężenia i wykorzystał prawo dźwigni, oddziaływania i prężność materiału, a tak umiejętnie wszystko obliczone, z takimi nadmiarami i rezerwami!

Tak tedy ta wytwórczość góralska dzięki uwarunkowanemu okolicznościami geograficznymi i gospodarczymi, zbiegowi wypadków, dzięki silnemu odczuciu naturalnych praw przyrody, dzięki odosobnieniu od reszty kraju, przez znacznie dłuższy niż w innych

okolicach Polski okres czasu, rozwijała się i doskonaliła. W związku z tą wytwórczością i w połączeniu z tłem bajecznej przyrody powstaje i rozwija się specyficzna kultura góralska. Sam język góralski stanowi najczystsze naczynie, najczystszej starodawnej polskiej mowy, pozbawione jakichkolwiek germanizmów, chyba już z okresu zaoboru austriackiego. Język ten jest tak piękny i powabny i tak dla polskiego ucha swojski, że wielu z najprzedniejszych mistrzów słowa polskiego specjalnie go się nauczyło, studiowało i stosowało w swoich arcydziełach. W tym to języku góralskim powstaje bogata góralska literatura w postaci licznych, ustnych, opowiadanych, przekazywanych z pokolenia w pokolenie baśni, legend, klechd i opowieści. Opowieści — to zwykle religijne, tkliwe, barwne, a czasem niesamowite i tajemnicze. Lud góralski jest religijny, może trochę po swojemu, może nie zawsze tak ściśle, jakby księża chcieli, ale religijny. Za swoją góralską Matkę Boską uznali Matkę Boską Kalwaryjską, która z Kalwarii poprzez nowotarską dolinę ma wgląd na całe Podhale do Tatr właśnie, która góralami się opiekuje, do której górale się modlą i o wstawiennictwo do Pana Boga i różnych góralskich Panów Jezusów proszą. W niektórych miejscowościach są specjalne kapliczki krzyżem świętym i ołtarzykiem zaopatrzone, z dzwonkiem mającym moc odęgniwania chmur gradowych. Jeden człowiek, przez całą okolicę upoważniony, tylko tę funkcję sprawuje, że ma obowiązek czuwać, czy chmura gradowa lub złośliwa dla zbiorów burza się nie zbliża i przy pomocy intensywnego dzwonienia je odganiana. Jak mimo odganiania gradobicie lub burza okolicę nawiedzi, oznacza to dopust Boży, widocznie ludność

na słuszną karę zastąpiła; bo inaczej dzwonek nieszczerście by odzęgnął. Każdy gązda po zbiorach dzwonnikowi dobrowolnie odsyp daje. Zdarzało się, że jakimś miejscowemu dygnitarzowi to dzwonienie się nie podobało, przeskądzało, denerwowało. Napisał raport do władz z prośbą o polecenie skasowania tego zwyczaju; podanie za wdrowało do samego ministra, a że akurat na mądrego ministra trafiło, ten tak odpiisał owemu dygnitarzowi: „...jeśli pan to wierzenie miejscowej ludności początuje za głupotę i zabobon i uważa za szkodliwe, a na drodze administracyjnej skasować propnuje, uważam, że nie umie pan wczuć się w nastroje ludności przez siebie administrowanej; czyli nie dorósł pan do swojego stanowiska”. Dygnitarza przeniesiono do innej miejscowości, gdzie nie było dzwonka odzęgnającego gradobicie, a dzwonek po dziś dzień dzwoni.

Górale w zakresie pieśni i muzyki znowu są specyficzni. Ich piosenki, jak zwykle ludowe, mają za swój przedmiot tematy religijne, wierzni, obrzaki z życia, przeżycia miłosne. Różnią się od innych stałym wplataniem opisów i porównań z przyrody górskiej, onomatopiecznym naśladowaniem wichrów i szumów górskich, wyrażają przywiązanie do gór; czasami bywają trywialne.

Taniec „zbojnicki” w strojach góralskich i z ciupagami jest barwnym, strojnym, rytmicznym i melodyjnym misterium. Element ogniska zdaje się dowodzić tradycyjnej łączności z tancami ludów indoeuropejskich z okresu pierwocin ich rozwoju. Słowami nie da się opisać. Porywa bez reszty i tańczących i widzów, nikt się jego uroku nie wyprowadzić nie może. Nic dziwnego, że gdy cesarzowa Maria Teresa



przejeżdżając przez polskie góry nabaczyła w przydrożnej gospodzie „zbońnickiego”, tańczonego przez Janosika i jego zbojników, przez noc całą, ku zgorzeleniu drzwi, tylko z nim tańczyła i kieszka pełną złotą i kosztowności obdarować chciała. Janosik przez noc całą z cesarową tańczył, lecz kieski nie przyjął, gdyż dumę swoją mając wolął, aby nie on cesarowej, lecz cesarzowa jemu wdzięczna była.

Najmniej może rozwiniętym działem sztuki góralskiej jest malarstwo. Reprezentowane w dawniejszych czasach przez wędrownych malarzy-górali, malujących przeważnie na szkle, jest mocno barwne i dekoracyjne, natomiast brak mu dostatecznej plastyczności i proporcji, co jest normalną cechą wszelkiego malarstwa prymitywnego.

Rzeźba figuralna służy przede wszystkim celom religijno-kościelnym, występują w niej wyraźnie wpływy raz gotyku, raz barocca, miewa skłonność do monstrualności.

Najpełniejszy swój wyraz, najszerze wypowiedzenie się, największy rozwój osiąga sztuka w zastosowaniu do przedmiotów użytkowych, przerażając się w tak zwaną „sztukę stosowaną”. Wypływa to niewątpliwie z zarobkowego charakteru tej wytwórczości z jednej strony, z drugiej zaś strony wynika z wysoko rozwiniętego poczucia estetyki życia codziennego wśród górali.

Zanim jeszcze sztuka góralska stała się powszechnie i szeroko znana, zanim jeszcze twory jej stały się przedmiotami handlu, góral buduje swój dom i obecnie według tradycyjnych form stworzonej przez siebie drewnianej architektury, ozdabiając je charakterystycznym z drewnianych deszczulek wykonanym słońcem, nierazko rzeźbą. Dachy buduje strome, nie tak

strome, jak w Szwajcarii, gdyż tak strome ze względu na inne opady śnieżne nie są tu potrzebne. Wiązania i łączenia materiału silniejsze niż w innych częściach Polski, aby wiatr halny wytrzymał.

Góral niemal wszystkim przedmiotom użytkowym, jakie ma w swoim domu, wokół niego i na sobie, nadaje formy dekoracyjną, lecz bez uszczerbku dla ich użyteczności, zdobi je rzeźbą, malunkiem, wytłaczaniem, haftem, naszyciami. Złe by się czuł, gdyby musiał żyć i pracować w otoczeniu innych przedmiotów. Nawet serki owcze mają swoje ozdobne formy, z których najpopularniejszą jest „szczypek”, lecz są również liczne inne, jak kogutki, jelenie, serca itd. Są specjalści, wytwarzający drewniane formy ozdobne do serków. Umiejętność to wielka: z dwóch kawałków drzewa wyrzeźbić dwie identyczne, lecz odwrócone od siebie, wkłesłe rzeźby, tak zaopatrzone czopkami z drzewa, aby po zamknięciu ściśle pasowały do siebie i aby serrek po wytłoczeniu posiadał swoją symetrię. Ta umiejętność, jak i wiele innych, jest przekazywana z ojca na syna.

Motywy zdobnicze można by podzielić na trzy zasadnicze grupy.

Pierwsza — to świetnie zaobserwowane i wystylizowane motywy roślinne. Stylizacja często idzie w kierunku nadawania rysunkom roślin bardziej geometrycznych form, niż je w rzeczywistości posiadają. Niekiedy stylizacja wyraża się również i tym, że łączone bywają w najnieprawdopodobniejszy sposób, wyrastające z jednej łodygi różne gatunki kwiatów.

Druga grupa — to motywy geometryczne, zaś na ich czele sześcioramienna gwiazda góralska w najrozmaitszych wersjach, ozdobiona dodat-

kowo całym szeregiem szlaków, żabków, linijek, wężyków, kropek itd. Motywy geometryczne przepletają się i łączą z roślinnymi.

Trzecia grupa motywów zdobniczych — to motywy symboliczne, do których zaliczyć należy znak ognia świętego, serce itp.

O ile motywy roślinne mówią o odczuciu piękna przyrody, o tyle motywy geometryczne i symboliczne dowodzą łączności sztuki góralskiej z przedwieczną kulturą indo-europejską, będąc wspólnymi wszystkim narodom i

ludom, należącym do tej wielkiej rodziny.

O tym, jak to „Herrenvolk” okupował Polskę w czasie drugiej wojny światowej, na podstawie znalezionego w zdobnictwie zakopiańskim znaku ognia, tego samego znaku, który został przez partię hitlerowską bezpodstawnie zmonopolizowany, chciał z naszych rdzennie polskich górali stwierdzić germańskiego pochodzenia „Góralenvolk”, i jak mu się to nie udało, opisujemy w następnym artykule.

Tadeusz Brzost.

## BYŁEM W NIEBIE

Właśnie w tym prawdziwym, najprawdziwszym, o którym tyle nasluchaliśmy się w dzieciństwie.

Ale pozwólcie, państwo, że zacznę od początku, bo przecież chcąc się dostać do nieba — trzeba wprawdzie umrzeć. A ja właśnie umarłem. Byłem nawet na swym pogrzebie. Przyznać muszę, że odbył się według ogólnie przyjętych przepisów, z mówkami „przyjaciół zmarłego” itp. szykanami... Warto jest, moi mili, gdyż taki „biedny nieboszczyk” staje się od razu jasnowidzem, czyta po prostu myśli swych przyjaciół, pozostawionych „w nieutulonym żalu”.

Miałem więc możliwość przekonać się, że każdy z nich, mimo bezinteresownego żalu, na samym dnie mózdku miał chytrze utajoną myśl: dobrze, że to jeszcze nie ja.

Wariaci! Gdyby wiedzieli, jak dobrze jest być takim nieboszczykiem, a jak cudownie, gdy taki nieboszczyk znajduje się nareszcie w niebie... Ale o tym potem. Skończmy z moim pogrzebem: nieboszczyką trzeba pochować.

Jednej tylko osoby rozpacz była bez zastrzeżeń; wolałaby zamiast mnie zająć miejsce w grobie.

A inni? Całe to zbierane towarzysstwo deptało sobie po odciskach, rozpychało się łokciami, dziwiąc się obfitości miętoszonych bezlisto kwiatów, rozdeptując bez najmniejszych skrępowań sąsiednie groby, były bliżej tej skrzyni z zwłokami, nie wiadomo po co... Rej w tym wodziły piękne panie. One to chciały być najbliższe, badając krytycznie, czy wzdowie od twarzy w żalobie, czy płacze naprawdę, czy tylko świetnie markuje.

W pewnej chwili pomyślałem: a może by tak zrobić towarzysztwu kawal i wstać? No, wyobrażam sobie, jakby to wszystko wiało szybciej od wiatru. Ale żał mi się zrobiło dzieci; przestraszyłyby się biedactwa. Choć nie moje, lecz zawsze miałem słabość do dzieci.

Zresztą żaden rzetelny umysł tego głuństwa by nie zrobił, żeby zaczynać życie na nowo. Na takie dowcipy pozwalają sobie tylko letargowcy, lub spotyka się to w teatrze, w jakiejś



kiepskiej farsie, gdzie bogacz chce się przekonać, jak zachowa się po jego śmierci: zacna rodzinka, zjeżdżająca się po spałek.

W tym wypadku wszystko było wyreżyserowane zupełnie poważnie, nie wypadło więc robić kawałów i psuć żalobnikiem nastroju.

Po drugie, w trumnie nie jest tak źle, można się przynajmniej solidnie wypsać za wszystkie czasy.

A jak się dostałem na tamten świat? Otóż było to tak: Musiałem się poddać niewielkiej operacji. Takich operacji odrabia się w naszych szpitalach codziennie co najmniej tuzin. Pewność, gwarancja, jeden na sto wypadek śmiertelny. Chcąc omówić ostateczny termin, udałem się do znajomego chirurga. Otworzył mi drzwi służący o wyglądzie klasycznego lapiducha, prosiąc do poczekalni.

Pan doktor kończył obiad. Nie była to pora przyjęć, więc w poczekalni nie było pacjentów. Przejrzawszy przedpotopowe tygodniki ilustrowane, jakieś pisma zachwalające uzdrowiska zagranicę i rodzime, rozsiadłem się w wygodnym fotelu i zagłębiłem w filozoficznych rozmyśleniach nad marnością naszego doczesnego życia. W pewnym momencie zobaczyłem siebie na stole operacyjnym. Kazano mi liść. Przypomniała mi się pierwsza lekcja rachunków. A potem — straciłem świadomość.

— Operacja udała się doskonale, ale pacjent umarł. Był to rzadki wyjątek, jakby dla potwierdzenia reguły. Wypadek jeden na sto. I ja właśnie byłem tym setnym, ja musiałem umrzeć.

Szybko pogodziłem się z nowo wyznaczoną mi rolę ducha i udałem się pieszo w długą podróż, na tak zachwalany „tamten świat”. Nie byłem sam.

otaczali mnie tysiące nowo upieczonych duchów. Coraz ktoś wymówił moje nazwisko, niestety ja, jak zwykle na ziemi, tak i tu zajęty swoimi myśłami, nie poznawałem nikogo.

A było o czym myśleć. Przede wszystkim rozpamiętywałem swoje doczesne życie. Jak to tam będzie teraz, gdy na wagę położą złe i dobre uczynki, Która szala przeważy, Tak rozmyślając, nabrałem pewności, że nie miałem żadnych zasług. Stanowczo nie kiwnąłem nawet palcem, żeby zrobić coś dobrego. Całe życie pisałem tylko i grałem, niby to na chwałę Bogu i pożytek ludziom, a w gruncie rzeczy dla własnej satysfakcji. Po prostu nie potrafiłem robić nic innego. — Umartwiałem się wprawdzie dość często, ale tylko dlatego, że nie miałem pieniędzy. Więc to nie żadna zasługa. O, mój do-bry Boże! — pomyślałem — gdyby to można było wrócić na ziemię i zacząć żyć na nowo. Tak, tak. — Wiedziałbym teraz, jak trzeba żyć... Mądry nieboszczyk po szkodzie...

Lecz teraz uwagę moją zwrócił na siebie nowy obraz. — Minęliśmy dawno stratosferę, Tutaj gwiazdy, księżyc stokręć piękniej od najczystszej wody ziemskich brylantów, przytulały się miłośnie do siebie, a na nich anioły tak cudne, jak te z choinek, w których kochałem się pierwszą miłością będąc małym chłopcem, kołysały się w takt muzyki.

Te cud — dziewice — anioły śpiewały jakieś przedziwne melodie, których istnienia nawet swym muzycznym zmysłem nigdy nie przeczuwałem, akompaniując sobie na złotostrunnych lutejkach. Pożalowałem też zaraz, że nie zabrałem ze sobą pianina.

Ktoś obok mnie westchnął. Obejrzałem się. Był to mój stary przyjaciel,

sławny malarz. — I cóż znaczą moje bohomyje wobec tych cudów? — powiedział grobowym głosem.

Poklepałem go współczująco po jego duchowym ramieniu, szepcząc do ucha: — nie martw się, przyjacielu, bo i ja nie w lepszym jestem położeniu.

— To nam, duchom, dodało trochę otuchy na duchu...

Szliśmy dalej. Jak długo, nie wiem. Może dzień, miesiąc, rok, a może sto lat. Już zacząłem podejrzewać, że to właśnie jest czyściec, ta droga bez końca, pełna gorzkich rozmyślań i nadludzkiej tęsknoty do doskonałości — do Boga...

Wtem, ten wielotysięczny tłum za-trzymał się przed ogromnymi wrotami. To była właśnie „Brama Niebieska”, a przed nią stał niesamowitego wzrostu starzec, z siwą brodą, sięgającą do ziemi.

— Bóg Ojciec — szepnął malarz. — Nie, to święty Piotr, klucznik — odszepnąłem. Poznaję Go z opowiadań. Widzisz, co trzyma w rękę? Złoty klucz!

Teraz, całe to mieszane towarzystwo zaczęło robić sztuczny tłok, zupełnie jak w tramwaju.

Ja, że pchać się nie lubię, a mając przy tym sumienie nie bardzo spokojne, wolałem nie świecić świętemu Piotrowi w oczy swoją osobą duchową i dlatego zatrzymałem się skromnie na uboczu.

Święty klucznik tymczasem wdał się w rozmowę z kandydatami do nieba.

— Ty, — zwrócił się do niepozorne-go ducha — choć byłeś szwem, nie upijałeś się, jak szewc, na podszewy używałes nie tektury, lecz prawdziwej skóry, a klientów też ze skóry nie obdzierałeś. Dlatego cierpiałes na ziemi biedę. Myślę, że masz niebo zapewnione.

— Ty, byłeś biskupem i sławnym kaznodzieją. To bardzo ładnie — powie-

dział do wyniosłego ducha. Lecz... w kazaniach swoich chodziło ci przede wszystkim o własne krasomówstwo. Nie martw się jednak; zyskałiśmy przez twe kazania wiele dusz. Jakoś to tam będzie...

— A ty, wytrwałaś w swoim dziewictwie do końca. Hm, piękna to rzecz, ale nie wiele z tego mieliśmy korzyści. Rozkochałaś w sobie chytrze przyzwolonego młodzieńca, potem dałaś mu kosa i biedak rozpił się z rozpacy. A gdybyś była wyszła za niego, rodziła na chwałę Bożą dzieci, nie zgorzkniałabyś, jak stara cytryna... Ani ludziom, ani Bogu. Piękna rzecz dziewictwo, lecz trudno pogodzić z obowiązkami. Zresztą, nie ja tu sądzę. Zobaczymy, co Pan na to powie.

W tej chwili przez tłum przygębionych ludzi przebijal jakiś ostry duch i, żywo gestykulując, wołał do-nośnym głosem: Święty Piotrze! Święty Piotrze! Ja byłem adwokatem, o-brońcą niewinnych.

Wiem, wiem. Bronieś tych biednych za grube pieniądze. Raz nawet swoim oratorskim talentem obroniłeś zbrodniarza, który później popełnił cały szereg nowych zbrodni. Duch adwokata opuścił zawstydzony głowę...

— Ty, też masz coś na sumieniu — zwrócił się do ducha generała.

— Wiem o tym — odparł syn Marsa. Wysłałem do boju dwa tysiące żołnierzy i na skutek moich złych obliczeń — żaden z nich nie wrócił żywy. Upierałem się przy swojej taktyce.

— Nie to, nie to. Czy pamiętasz, jak będąc jeszcze młodym porucznikiem zwymyślałeś raz bardzo brzydki i nie-słusznie pewnego rekruta? Ten chłopiec tak odczuł to głęboko, że omal nie odebrał sobie życia. A ty, chociaż spostrzegłeś pomyłkę, przez swoją ambicję nie chciałeś tego odwołać. Za to potem wychowałeś wielu ofiarnych sy-



nów, dźwigałeś brzemień wojny, całe życie poświęciłeś ojczyźnie, niczego nie żądałeś dla siebie. Ciężkie miałeś życie i umiałeś je dźwigać, jak prawdziwy bohater. — Nie każdemu z mieszkańców ziemi danym jest dostąpić łaski krzyża... W swoim rozumowaniu wypełniałeś obowiązki zgodnie z sumieniem. Przypuszczam, że tamten błąd — będzie ci darowany.

Ogarneło mnie przerażenie. Więc to tak? Więc tutaj pamięta się o takich drobnych przewinieniach? Mój Boże, jakże przedstawia się bilans moich czynów? — Beznadziejnie. Nie ma tu dla mnie miejsca. — Przypomniałem sobie słyszaną na drodze tę cudowną muzykę i świadomość, że stracę możliwość słuchania — wprowadziła mnie w taki stan, że z pewnym odcieniem urazu spojrzałem na Wielkiego Apostoła, przypominając sobie „Quo Vadis”, ucieczkę świętego Piotra z Rzymu i Jego powrót...

A On, odgadłszy myśl moją, odpowiedział: Błądzić jest rzeczą ludzką, lecz temu, który nie potępia swych ułomności, nie będą one nigdy przebaczone.

Nagle, wszystkowidzące, przemądre, oczy Wielkiego Klucznika zwróciły się w moją stronę. Aż młasnął z radości językiem, gdy mnie zobaczył. Chodźno, chodźno do mnie! — zawołał łaskawie. Kto, jak kto, ale taka biedota, jak polski literat, to już ma u nas pierwszeństwo. Dosyć się już nacierpiałeś... Nie ma mowy o żadnym piekle!...

Podszedłem osmielony i zdumiony zarazem. Nawet do kolan nie sięgałem świętemu.

— Zaraz, zaraz! Z tego wszystkiego byłbym zapominał... A... jak to tam było z tą dziewczynką?...

— Z która? — wyrwało mi się niepotrzebnie i dusza uciekla mi na wyimaginowane ramię.

Przemity Święły uźmiechnął się pod

wąsem figlarnie. Co innego mam na myśli — powiedział poważnie. — Kiedyś, już dość dawno, dałeś jemużne małejce, dziesięcioletniej dziewczynce i pogłaskałeś ją po głowie. Słuchałem z wzrastającym zdziwieniem.

Dziewczynka delikatną swoją piśczętą przyjęła z większą wdzięcznością, niż jałmużnę, mimo, że głód jej dokuczał. — A czy wiesz dlaczego? — Była sierotką...

— Więc cóż w tym... złego? — pomyślałem.

— Więc na tym polega twój błąd, że pogłaskałeś ją dlatego, bo dziewczynka miała oczy, jak błękit naszego nieba, twarzyczkę, jak nasze aniołki, a śliczne czarne kędziorki okalały jej główkę. Gdyby była brzydkim, zamorusanym dzieckiem — dałbyś jej tylko jałmużnę...

— Nie moja wina — chciałem zaoponować...

— Pewnie, nie twoja wina, że masz zmysł estetyczny silnie rozwinięty, jednak trzeba się umieć przemóc. A zresztą... Oj wy, poeci, poeci! Zawsze bujacie w obłokach... Niech was Pan Bóg kocha! — A teraz pokażę wam niebo. Tym, którzy tam wejść niedługo, by paspokoić ich ciekawość, a tym, którzy przejść przez nie muszą przez czyściec, by przez wzmogoną tęsknotę skrócić im czas oczekiwania. — Albowiem kto tęskni, ten bliżej jest nieba...

Zazgrzytał złoty klucz w zamku i rozwarły się wrota niebios.

To, co zobaczyłem, przeszło wszystkim, czego mogliem oczekiwać. Drgnąłem tak, jakby mnie ktoś bardzo mocno szarpnął za ramiona. Oczy moje poraził niebywały blask. Mimowoli zmrużyłem powieki, a gdy je po chwili podniosłem, przede mną stał lokaj-jałpuduch i, umiechając się wyrozumiale, oświadczył: pan doktor prosi do gabinetu.

Kazimierz Wiehler.

## Jeszcze o Mikołajczyku

Działając, można pobłądzić, jest to rzecz ludzka, lecz stwierdziwszy, że jest się na błędnej drodze, brnąć dalej po manowach — popelnia się już nie błąd lecz zbrodnię!

Działalność Stanisława Mikołajczyka w ostatnim sześcioleciu jest jaskrawym przykładem, jak błąd myślowy polityka czynnego może go łatwo postawić w rzędzie najgorszych szkodników narodowych.

Bezspornie Stanisław Mikołajczyk działał w dobrej wierze, ulegając urokowi idei panslawistycznej. Dla Mikołajczyka jemu podobnych Rosja — mocarstwo kontynentalne — wydawała się jedynym źródłem sił słowiańszczyzny, zdolnym zahamować germański „Drang nach Osten”. — Uwierzysz, że Polska i Rosja mogą znaleźć wspólny język i odszukać utraconą wspólnotę rozwojową, będąc przedstawicielem doktryny zwalczającej penetrację kulturalną Polski na Wschodzie, jako podstawę istnienia wielkiej własności rolnej, Mikołajczyk z lekkim sercem zgodził się na rozszczenie Rosji do Wilna i Lwowa. Przedstawiciel kierunku politycznego, widzącego Polskę jako państwo chłopskie, zapomniał Mikołajczyk na chwilę, że to, co stanowiłoby Polskę z jej kulturą, tradycją, oparte było właśnie jedynie i wyłącznie na elemencie polskim, wojującym na „Kresach”. Kogo bowiem wydały ziemie, tak lekko przez Mikołajczyka oddane na łup wielkiego sąsiada? Czy nie Kościuszkę, Mickiewicza, Sniadeckich, Lelewela, Słowackiego, Czackiego, Traugotta, Siemkiewicza, Rodziewiczównę, Piłsudskiego... a przecież bez tych nazwisk, co zostaną z naszej kultury?

Był to więc błąd — błąd wielki! Miał on jednak to uzasadnienie, że czynił go wszyscy, że miał on być rekompensatą za Wolność i Niepodległość reszty okaleczanej Polski!

Złudzenia co do dobrej woli Kremia do stosunku do Polski przysły pod ciomasami „Bezpieki”. Mikołajczyk, widząc beznadziejność sytuacji w Kraju, wobec groźby procesu „pokazowego”, zbiegł z Kraju, szukając na ziemiach zachodnich schronienia.

Logicznym następstwem tego kroku powinno być męskie oświadczenie, że popelnił błąd, że staje w szeregach walczących o prawdziwą wolność i całość.

Tymczasem Stanisław Mikołajczyk brnie dalej w popelnionym błędzie: „nie chciałbym, aby mój wyjazd z Polski tłumaczono źle, że zamierzam prowadzić antypolską akcję, lub występować przeciwko porozumieniu i współpracy polsko-sowieckiej” — mówi samo za siebie. Czy więc nie staje Mkołajczyk przed Rubikonem, dzielącym uczciwego lecz omylnego wodza mas chłopskich od równi pochyłej, po której stacza się, by stanąć w jednym szeregu z Radziejowskim, Opalińskim, Adamem Ponіńskim — przedstawicielami sponchi wielkopolskiej, jako uzupełnienia chłopskie zbrodniczego warcholstwa i zdrady?

Jest pewnym, że emigracja, walcząca o prawdziwie Wolną Polskę, z nieufnością i rezerwą patrzy na tego skądinąd wartościowego polityka, którego zdolności i energia mogą być stracone bezpowrotnie dla wspólnej sprawy.

St. M.





## POWRÓT NASZ NAD DOLNĄ ODRE I NISSE ŁUŻYCKĄ.

(dokończenie ze str. 7.)

i na obszarze Śląska. Mniejszość ta tamowała połączenie obu krajów. Parcie nad Sprewę i Łabę.

Nie oddzielają nas od nich góry, jak od Czech. Stanowią naturalne przedłużenie Śląska. Nic też dziwnego, że wiążą dziś swą przyszłość z nami!

Pisze o tym i prasa angielska, np. londyński „Daily Mail” z dnia 17.I. 1946 r. w związku z przybyciem na posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych (U.N.O.) wysłanniczki Serbo-Łużyc p. Marki Czyżowej z Budziszyna. Zjawiła się na pierwszych posiedzeniach w Londynie, następnie w San Francisco, w końcu i w Paryżu na wstępnej Konferencji Pokojowej. Domagała się Niepodległości dla swego ludu.

Przez lud serbo-łużycki odezwie się i reszta Zachodniej Słowiańszczyzny.

Niemcy wyrzucone za Łabę przestaną być dla nas groźne. Nie będzie więcej dwóch frontów, jak we wrześniu 1939 r. Zaczniemy się wreszcie zagospodarowywać!

Nie sądzmy, że będziemy odosobnieni w naszych usiłowaniach. Każde osłabienie Niemiec jest w interesie sąsiadów, Łużycę znajdują sojusznika we Francji, Belgii jak i Holandii. W Brytania z Ameryką nie mają specjalnego interesu przeszkadzać tym więcej, że chodzi o niewiele kilometrów.

Tylko sprawa Serbo-Łużyc musi się stać sprawą międzynarodową! Zagadnieniem, którego nie można przekreślić.

Jeśli może istnieć mały Luxemburg (o obszarze 4.400 km.<sup>2</sup>), w Stanach Zjednoczonych A. P. specjalny rezerwat dla pozostałych Indian (6.500 km.<sup>2</sup>), w takim razie mogą istnieć i niewielkie Serbo-Łużycy o obszarze około 10.000 km.<sup>2</sup> na pograniczu Ślą-

ska. Naród, który przetrwał prawie tysiąc lat straszliwej germanizacji, ma prawo do resztek swego terytorium! Podcięta zostanie tylko rola Berlina jako stolicy Niemiec. Znajdzie się ona nie tylko w zasięgu naszych armat ustawionych nad Odrą, lecz i prawie przy samej granicy serbo-łużyckiej, ciągnącej się na północy nad Sprewaldem od ujścia Nissy Łużyckiej do Odry w kierunku: rzeczki Damny (po niemiecku — Dahme), lewego dopływu Sprewy, miasta Lebusy wzdłuż Damny, rzeki Czarna Halsztrów (po niemiecku Schwarze Elster) i rzeczki Płócznicy (niem. Pulsnitz) na południo-zachodzie, ku czeskiej granicy przy Szebienicy (niem. Sebnitz), wreszcie od Szebienicy do Zitawy (niem. Zittau) nad Nissą Łużycką.

Graniczymy z Serbo-Łużycami na dużej przestrzeni wzdłuż Nissy Łużyckiej 140 km. Czecho-Słowacja natomiast — tylko 60 km. Na opisanym obszarze zamieszkały tam lud mówi do dziś językiem ojczystym. Serbski Budziszyn współdziała z łużyckim Chociebużem (niem. Kottbus). Wynarodowieni przypomną sobie swą przeszłość w niepodległych Serbo-Łużycach.

W rozważaniach o bezpieczeństwie naszej granicy na zachodzie poświęciliśmy najwięcej miejsca Łużycom. I nic dziwnego! Łużycę w rękach niemieckich to wieczna groźba dla pokoju. Dlatego też cała Zatoka Szczecińska wraz z wyspą Rugią i obu brzegami Odry, przy włączeniu i Serbo-Łużyc w obręb Polski muszą się znaleźć w naszym władaniu. Nie możemy poprzestać na dzisiejszym kordonie granicznym, nie uwzględniającym żywo tnych interesów Polski na Zachodzie.

Jerzy Boleszczyk-Zakrzewski.

Na fundusz prasowy „N. Z.”

złożyli:

ks. Józef Borowczyk

100 mk

Wydawca: KRAJ STARSZOHARCERSKI

im. Andrzeja Małkowskiego w Maczkowie

ul. Zygmuntowska 29.

